

W domu muzyki polskiej

Wystawa zbiorów Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego

Nieraz, jeżeli porządnie przycisnąć do muru przeciętnego miłośnika muzyki, to okazuje się, że wie on wprawdzie coś niecoś o Mozarcie, Beethovenie, Wagnerze — wymieni wagnerowskie opery, kilka sonat i symfonii Beethovena, kilka utworów Czajkowskiego, słyszał nazwiska takie, jak Debussy, Ravel, oczywiście wie, że Bach to muzyka poważna, ale wiadomości o polskiej muzyce streszczają się dla niego w ramach: Chopin, „Halka” i „Straszny dwór”, Paderewski w Ameryce i śmierć Karłowicza w Tatrach.

O współczesnych kompozytorach nie wiele powie, nie wymieni dzieł Karłowicza, a nazwiska np. Elsnera wcale nie słyszał.

Tacy właśnie powinni przedewszystkiem pójść na bogatą wystawę, jaką Warsz. Tow. Muzyczne urządzało z okazji swego sześćdziesięcioletniego jubileuszu w salach klubu Urzędników Państwowych. Zwiedzenie tej wystawy to prawdziwie odwiedzin w domu polskiej muzyki XIX w. i polskiej muzyki współczesnej.

Ale na wstępie wita nas dział zabytkowy. W osobnej gablocie umieszczono jeden z najpiękniejszych pomników piśmiennictwa muzycznego z w. 16-go: tabulaturę organową z utworami Marcina Leopolda. Naprzeciwko leżą rękopisy oper Kamińskiego: „Słowika”, „Nedzy uszczęśliwienie”, „Tradycji” — jeden z nich w wyciągu fortepianowym, z wykaligrafowaną na pierwszej stronie dedykacją dla króla Stanisława Augusta.

Teraz przechodzi się już do czasów niezbyt odległych. Elsnier reprezentowany jest oryginałem „Króla Łokietka”, są autografy muzyczne Fr. Lessla, J. Nowakowskiego, a potem imponujący dla każdego muzykologa zbiór pamiątek po Karłowiczu. Kolekcja fotografii, za którą wszedł idzie jakby drugi żywy kalendarz lat kompozytora — są tu w rękopisie chyba wszystkie jego utwory. Wielkimi stronicami partytur leżą „Stanisław i Anna Oświecimowie”, „Odwieczne pieśni”, „Epizod na maskaradzie”, a w małym zeszycie kompozycja młodzieńcza „Chant du Soir”, napisana, gdy Karłowicz miał 16 lat.

Prawie całą środkową, wielką salę wypełniają pamiątki moniuszkowskie. Ten zbiór jest słuszną dumą Towarzystwa Muzycznego. Dokumenty, fotografie, rysunki, portrety, rękopisy dzieł, listy, książki, drobne przedmioty codziennego użytku odbijają życie całej rodziny Moniuszków, począwszy od Stanisława Moniuszki (1739 — 1807), dziada kompozytora, sędziogo W. X. Litewskiego. Na portrecie dumnie patrzy tęgi szlachcic w polskim stroju, po szlachecku ostrzyżony. Obok jest portret kobiety o przedziwnie czystych niebieskich oczach — to babka, żona Stanisława, dalej jej siostra, o twarzy szerokiej, poarnej zmarszczkami, w habicie i korniecie zakonnym. Tekla Woyniłłowiczówna. Kto lubi stare portrety, ten długo postoi przed tym protretowym zakątkiem sali.

Kolei widzimy dziwną postać — głowa wzniesiona w górę, twarz jakby wpatrzona w niebo, jedno oko zasnuwiał bielmem, charakterystyczna wypukła broda i niezgrabny nos Moniuszków — ręka oparta na szabli. Stoimy więc przed portretem adjutanta Murata, Czesława Moniuszki, ojca kompozytora.

Czesławowi Moniuszce zawdzięczamy szereg rysunków. Spod jego ołówka wyszedł szkic, przedstawiający kompozytora przy fortepianie, jest też charakterystyczny „Plan najwierniejszy Rejterady Armii Francuskiej w R-u 1812 y przejscie przez Berezynę pod Sundziąanką przez nacożnego świadka Czesława Moniuszkę”.

Niedaleko tego szkicu znajduje się szafka, mieszcząca biurowo podręczne, na którym Moniuszko pisał „Flisa”. Dalej pieczętka, klucz od trumny, okulary, sezyrony, batuty. Nadole gabloty leżą dwa arkusze papieru z czarną obwódką. Nekrologi. Pod nazwiskiem „Moniuszko” czytamy — „Po krótkiej słabości umarł w dn. 4 czerwca o godzinie 6-ej wieczorem, przeżywszy lat 51”, na drugim zaś nekrologu: „Aleksandra z Millerów, Moniuszkowa, wdowa po kompozytorze i Dyrektorku Opery Polskiej”.

Odbicie młodości, sławy, małżeństwa i zgonu Moniuszki znajdujemy w bogatej kolekcji listów, jaka pozostała po kompozytorze. Oto najpierw, jeden z najwcześniejszych, pisanych zapewne pod dyktando, po francusku, równie, dziecinnie literami przez pięcioletniego chłopca.

Me chère Tante Viktosia. Qu'ougu éloigné de vous, je vous envoie mille baisers en attendant que je puisse vous les donner de plus près. Ma sante est parfaite et je souhaite que la votre soit de même. Je suis pour l'axe votre dévoué neveu. Stanislas Moniuszko.

Przeskoczmy teraz blisko 15 lat, a spotkamy paniński dzienniczek Aleksandry Müllerówny, w którym przepisuje sobie nuta po nucie piosenki niejakiego pana Moniuszki.

W r. 1841 jest już jego żoną i Moniuszko kupuje małą laurkę ze złotem brzegami i fiolkami u góry, wypisuje na niej „Z powinnowaniem pierwszych imieniom mojej żony”, a pani Aleksandra dopisuje u dołu ołówkiem: „Przy tym bilecie ofiarował mnie Piosenkę Mickiewicza — Świteziankę”.

Przesuńmy się o trzydzieści z górą lat. Dom państwa Moniuszków pełen jest dzieci — widzimy ich portrety i albumowe fotografie — a ojciec, słynny już twórca narodowy, planuje właśnie nową operę ku czci swego patrona i czyta w nocy z 3 na 4 czerwca grubą książkę, oprawną w skórę — żywot św. Stanisława pióra Długosza.

4 czerwca 1872 r. w notatniku Moniuszki ostatnie jego zapiski są odkreślone ręką żony, czerwonym ołówkiem, a dalej jest zanotowane: „do wpół do 10 był na mieście, przyszedł chory i chorował tylko do 6 wieczór, 4 czerwca umarł”. Pod datą 4 czerwca jest

zapis „Śmierć o 6 godzinie wieczór”, następnego dnia „o 4-ej popołudniu przeniesienie do kościoła św. Krzyża”.

Tym kalendarzykiem rozstajemy się z życiem Moniuszki. Przejrzmy teraz do tego, co wiecznie żywe. Do kartek z nutami.

Wiele stołów założono autografami. Bogactwo rękopisów. Partytura „Hrabiny”, „Bajki”, „Litani”, cała moc drobniejszych utworów i jednoaktowych oper. I wreszcie afisze. Wszystkie afisze pierwszych przedstawień.

Np. na jednym pisze „Nowa Opera — 1 stycznia 1858 r.”, „Halka”. Obsadę stanowili wtedy: Troschel (Stolnik), Quattrini (Zofja), Ziolkowski (Janusz), ówczesna ulubienica Warszawy — panna Rivoli (Halka).

Wśród afiszów znajdujemy rzeczy zupełnie nieznane niespecjaliście. Któż wie o takim oto dziele Moniuszki?

Wilno, 19 stycznia 1845 r. „Don Juan de Barbastro”. Muzyka St. Moniuszki. Dyrekcja ze swej strony zachęca widzów w następujących słowach, wydrukowanych na afiszu:

„Dzieło to jest jednym z najpiękniejszych utworów francuskiej dramatycznej szkoły. Dobitnie charakteryzuje już to wyuzdaną na wszelką bezczelność zbrodni, już zamilowanie honoru i cnoty, naturalność, mimo okropności wydarzeń wypadków, najgłośniejsze go cechują”.

Albo, czy kto z bywalców opery, miłośników „Strasznego dworu” i „Verbum Nobile” przypuszczał, że istnieje taka kompozycja:

„Kacper Hauzer czyli podziemny wychowawca, w 4 oddziałach z Francuskiego z muzyką Stanisława Moniuszki”. I znów na afiszu reklama „Znaję piękny gust amatorów sceny tutejszej, nie szczędziłem kosztów na sprawowanie onego (dzieła), w tej pewnością, że każdy spektator z pełnym zadowoleniem miejsce widowniska opuści”. Dyrekcja nie spozstrzegła się, że w ostatnim zdaniu popelnia ryzykowny dla siebie dwuznacznik.

Salę moniuszkowską zamyka fortepian Moniuszki. Jest on czteropedałowy, jeden pedał ma dzwonek.

Jeśli już idzie o osobiowości z dziedziny instrumentów, to jest tu jeszcze gitara w kształcie liry, na której grała matka Moniuszki, a w sali obok dziwny instrument: szklana harmonika z przełomu 18-go i 19-go wieku. Dopiero teraz dobrze rozumie się zwrot z „Improwizacji” o „szklanych harmonikach sferach”, gdy się tą prawdą harmonikę zobaczy.

A teraz na zakończenie: niech do obejrzenia wystawy zachęci nie to, co zostało opisane, ale wyłącznie działów nieopisanych: pamiątki po Chopinie, autografy muzyków obcych, autografy polskich kompozytorów współczesnych: Szymanowskiego (Harnasiel), Maliszewskiego (Missa pontificalis), Morawskiego, Młynarskiego, Szopskiego, Kondrackiego, Perkowski, Palestra i innych. Kompozytorzy ci wypożyczyli swe rękopisy Tow. Muzycznemu na czas wystawy dla uczczenia jubileuszu Towarzystwa.

Na czele komitetu organizacyjnego wystawy stoi Leop. Binental.

Z. B.

Z nauki i sztuki

Literatura

— „Rozmowa z Lwem Tołstojem”, poemat Miłozza Gembarskiego, ukazał się w druku jako odbitka z „ABC literacko-artystycznego” w osobnym wydaniu.

— Akademia w Pradze z okazji 100-lecia „Pana Tadeusza”. W dniu 2 maja r. b. odbędzie się, staraniem Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Karola oraz Instytutu Słowiańskiego w Pradze uroczysta akademja z okazji 100-lecia „Pana Tadeusza”. Akademja będzie zarazem uczczeniem święta 3-go maja.

— Parodia „Kochanka Lady Chatterley”. Robert Leister napisał parodię książki D. H. Lawrence’a, którą zatytułował „Sadie Chatterleys Cover” (Nakrycie Sadie Chatterley).

— Komisja nagrody teatralnej Akademii Literatury. Polska Akademia Literatury powołała specjalną komisję, która na najbliższym swym posiedzeniu w dniu 3 maja b. r. ustali zasady konkursu, skład jury itp. w związku z nagrodą dramatyczną, jaka ma być przyznana przez Akademię z sumy, przeznaczonej na ten cel przez Min. WR i OP. (10 tysięcy zł). Prawdopodobnie do jury Akademii zaprosi poza swoimi członkami kilka osób ze świata literackiego.

Teatr

— Podpisanie umowy dzierżawnej między spółdzielnią aktorską i Magistratem. Wczoraj w gabinecie kom. Kościelskiego odbyło się ostateczne podpisanie umowy na dzierżawę b. teatrów miejskich. Ze strony miasta podpisał ją kom. Kościelski, ze strony spółdzielni artystów Borowski i Buszyński. Artyści tytułem subwencji otrzymają do końca sezonu 35.000 zł.

— Kabaret literacki Hemara. Kabaret literacki, który, jak donosiłmy wczoraj, tworzy Hemar, będzie nosił nazwę „Zabawa dla inteligencji”. Kabaret ten będzie obok numerów programu o charakterze współczesnym, dawał także numery w stylu kabaretu przedwojennego z lat 1900. (b)

— Nowy teatr Jaracza. Jaracz w przyszłym sezonie zamierza prowadzić własny teatr. Projektowane jest owarie go przedstawienie, które byłoby równocześnie jubileuszem 30-lecia pracy scenicznej znakomitego artysty. Jeśli chodzi o za-

mierzenia repertuarowe teatru Jaracza, to Jaracz podkreśla, że dzieła wielkiej poezji mają w sobie więcej czynników wiążących je ze współczesnością, niż modny, a najczęściej płaski i mało wartościowy t. zw. repertaż sceniczny. (b)

— Wzniesienie „Wielkiej Operetki”. Teatr „Wielka Operetka” od kilku tygodni nieczynny, zamierza wznowić przedstawienia, wystawiając węgierską operetkę „Miss Temp”, graną w Wiedniu i Budapeszcie p. t. „Kot w worku”.

Plastyka

— Wielki sukces krakowskiej wystawy kobierców mahometanów i ceramiki w Muzeum Narodowym. Donosiłmy wielokrotnie o wielkiej frekwencji na wystawie kobierców i ceramiki w Muzeum Narodowym w Krakowie; mimo że wystawa trwa od 2 lutego b. r. i że ją zwiedziło około 20.000 osób, nie straciła ona po dzień dzisiejszy na aktualności, ciesząc się niezwykłym powodzeniem. Dowodem tego 1000 osób, które przeszły się w ubiegłą niedzielę przez salę wystawową, co niewymownie świadczy o udanej imprezie i olbrzymim zainteresowaniu szerokich warstw społeczeństwa. W ostatnich dniach wystawa wzbogaciła się stu nowymi okazami, pomiędzy innymi wazami, pochodzącymi z Misni ze zbiorów Franciszka hr. Potockich z Krakowa i ceramikami staro-chińskimi ze zbiorów dr. Reicha.

— Konkurs na emblemat I. A. T. A. Międzynarodowy Związek Przedsiębiorstw Komunikacji Powietrznej „I. A. T. A. (International Air Traffic Association), mający stałą siedzibę w Hadze, zamierza stworzyć własny emblemat oraz flagę. Odnosne projekty winny być opracowane do dn. 15 lipca b. r. i przedstawione Związkowi przez narodowe kompanie komunikacji powietrznej. Bliższych informacji dla grafików polskich, którzyby chcieli wziąć udział w konkursie, udzieli dyrekcja P. L. L. „Lot” (Warszawa, pl. Napoleona 9, tel. 563-60) w godz. 8 — 15.

— Wystawa malarska tańca w Paryżu. Dnia 4 maja „Archives Internationales de la Danse” w Pary-

Na ekranach

„Sprytna dziewczyna”

„Filharmonja”

Teatr w kinie jest zjawiskiem coraz częstszym. Do kategorii filmów „teatralnych” należy też wyświetlana w Filharmonji powiastka o dziwnej miłości przystojnego niebieskiego ptaka i pocziwej a sprytniej tancerki. Zapiszmy na korzyść filmu nieszałowne ujęcie całej tej historyjki i inteligencję, z jaką przeprowadzono dialog. Zresztą o wartości filmu świadczy fakt, że widz śledzi z wielkim zainteresowaniem przebieg akcji, rozgrywającej się właśnie między dwiema osobami, inne bowiem postaci mają w tym obrazie charakter raczej rekwizytów.

Zastępą reżysera Schulberga jest, że potrafił uniknąć ciekawego sentymentalizmu, który często obniża wartość filmów amerykańskich, i że dzięki ciekawemu montażowi oraz dobremu wytrzymaniu tempa uratował maksimum możliwości filmowych tea-

tralnemu tematowi.

Z paru głównych wykonawców bardziej przekonujący jest Fryderyk March, jeden z najinteligentniej grających aktorów, jakich zdarza nam się widzieć na ekranie. Również i Silvia Sydney, znana głównie z ról dramatycznych, wywiązuje się umiejętnie z trudnej roli zahukanej dziewczyny, której miłość, niezrażona ciągłym zrzedzeniem ukochanego, odnosi w rezultacie całkowity triumf.

Technika filmu stoi na bardzo wysokim poziomie, przyczyniając się do miłego wrażenia, jakie zeń wynosimy. Nad program krajowe karykatury gwiazd ekranu (pisałyśmy już o nich w jednej z poprzednich recenzji), tygodnik Paramountu i świetna groteska rysunkowa Fleisherów p. t. „Betty aktorką” ze słynną Betty Boop A. R.

Teatr w kinie jest zjawiskiem coraz częstszym.

Do kategorii filmów „teatralnych” należy też wyświetlana w Filharmonji powiastka o dziwnej miłości przystojnego niebieskiego ptaka i pocziwej a sprytniej tancerki. Zapiszmy na korzyść filmu nieszałowne ujęcie całej tej historyjki i inteligencję, z jaką przeprowadzono dialog. Zresztą o wartości filmu świadczy fakt, że widz śledzi z wielkim zainteresowaniem przebieg akcji, rozgrywającej się właśnie między dwiema osobami, inne bowiem postaci mają w tym obrazie charakter raczej rekwizytów.

Zastępą reżysera Schulberga jest, że potrafił uniknąć ciekawego sentymentalizmu, który często obniża wartość filmów amerykańskich, i że dzięki ciekawemu montażowi oraz dobremu wytrzymaniu tempa uratował maksimum możliwości filmowych tea-

tralnemu tematowi.

Z paru głównych wykonawców bardziej przekonujący jest Fryderyk March, jeden z najinteligentniej grających aktorów, jakich zdarza nam się widzieć na ekranie. Również i Silvia Sydney, znana głównie z ról dramatycznych, wywiązuje się umiejętnie z trudnej roli zahukanej dziewczyny, której miłość, niezrażona ciągłym zrzedzeniem ukochanego, odnosi w rezultacie całkowity triumf.

Technika filmu stoi na bardzo wysokim poziomie, przyczyniając się do miłego wrażenia, jakie zeń wynosimy. Nad program krajowe karykatury gwiazd ekranu (pisałyśmy już o nich w jednej z poprzednich recenzji), tygodnik Paramountu i świetna groteska rysunkowa Fleisherów p. t. „Betty aktorką” ze słynną Betty Boop A. R.

Teatr w kinie jest zjawiskiem coraz częstszym. Do kategorii filmów „teatralnych” należy też wyświetlana w Filharmonji powiastka o dziwnej miłości przystojnego niebieskiego ptaka i pocziwej a sprytniej tancerki. Zapiszmy na korzyść filmu nieszałowne ujęcie całej tej historyjki i inteligencję, z jaką przeprowadzono dialog. Zresztą o wartości filmu świadczy fakt, że widz śledzi z wielkim zainteresowaniem przebieg akcji, rozgrywającej się właśnie między dwiema osobami, inne bowiem postaci mają w tym obrazie charakter raczej rekwizytów.

Zastępą reżysera Schulberga jest, że potrafił uniknąć ciekawego sentymentalizmu, który często obniża wartość filmów amerykańskich, i że dzięki ciekawemu montażowi oraz dobremu wytrzymaniu tempa uratował maksimum możliwości filmowych tea-

tralnemu tematowi.

Z paru głównych wykonawców bardziej przekonujący jest Fryderyk March, jeden z najinteligentniej grających aktorów, jakich zdarza nam się widzieć na ekranie. Również i Silvia Sydney, znana głównie z ról dramatycznych, wywiązuje się umiejętnie z trudnej roli zahukanej dziewczyny, której miłość, niezrażona ciągłym zrzedzeniem ukochanego, odnosi w rezultacie całkowity triumf.

Technika filmu stoi na bardzo wysokim poziomie, przyczyniając się do miłego wrażenia, jakie zeń wynosimy. Nad program krajowe karykatury gwiazd ekranu (pisałyśmy już o nich w jednej z poprzednich recenzji), tygodnik Paramountu i świetna groteska rysunkowa Fleisherów p. t. „Betty aktorką” ze słynną Betty Boop A. R.

Różne

— Wyprawa uczonego polskiego do stratosfery. W Belgii przygotowywana jest nowa wyprawa stratosferyczna, która ma wnieść się do wysokości, przekraczającej granicę, osiągniętą przez prof. Piccarda, t. j. jest ponad 16000 metrów, a zatem w sferę stratosfery jeszcze nieznana. W locie tym weźmie udział prof. Max Cosyns oraz młody uczoney polski, dr. inż. Władysław Haus, asystent Uniwersytetu w Brukseli. Wybór, jaki spośród wielu kandydatów belgijskich i eudzoziemskich spotkał dr. inż. Hausa, jest dla niego zaszczytnym wyróżnieniem. Będzie to pierwszy Polak, który poleci do stratosfery. Balon wzniesie się z okolicy Dinant (Belgia) dokąd zostanie przewieziony przed 15 maja. Począwszy od tej daty odlot może nastąpić lada dzień, z chwilą gdy Obserwatorium zapewni co najmniej 70 godzin pogody.

— Dziewiąty Międzynarodowy Kongres Związków Autorów i Kompozytorów. W Warszawie w dniach 11 — 16 czerwca odbędzie się Kongres Międzynarodowy, na którym delegacja 25 państw będą obradować nad sprawami, związanymi z prawem autorskim. Poprzednie kongresy odbyły się: pierwszy w roku 1926 w Paryżu, następny w Rzymie, w Berlinie, Madrycie, Budapeszcie, Londynie, Wiedniu i ostatnio w r. 1933 w Kopenhadze.

Z muzyki

Ostatnie koncerty

W sobotę, 28 kwietnia wystąpiła z własnym recitalem Ines Jouglet laureatka konkursu śpiewaczego w Wiedniu. Program zawierał szereg pieśni od Couperina do Ravela. Zadanie do pokonania niełatwe.

Ines Jouglet posiada duży głos szczególnie silny w skali górnej. Średnica natomiast mniej jasna. Należałoby jeszcze popracować nad przełojkami, które trzeba koniecznie wyrównać. Artystka chętnie używa góry, gdzie może pokazać siłę i brzmienie swego głosu w sposób najbardziej korzystny. Nie zawsze dawało to pożądaną wykładnię na interpretację. W jednej np. pieśni wyraz jej domagał się krzyku, usłyszeliśmy zaś pięknie wyciągniętą nutę.

Kwestja śpiewu solowego jest

dzisiaj prosto całym problemem wokół którego drepczą wszyscy bez wielkiej nadziei wyjścia z sytuacji. To pewne, że pogląd dzisiejszy ustawił głos ludzki, gdzieś na szarym końcu. Mój Boże! Chyba nie dlatego, że trudno go doprawdy traktować jak... instrument perkusyjny. Zdawałoby się, że słowa moje zakrawają na żart. A jednak nie są dalekie od jednego z najłatwiejszych rozwiązań tego problemu.

Ów ułatwiony sposób myślenia nie wnosi jednak nic pozytywne. Nie rozwiązuje sprawy. W tem leży jego słaba strona. Toteż wykręcać się nim długo nie będzie można.

A jednak wyczuwa się całą potrzebę nowego spojrzenia. I to nie ulega żadnej dyskusji. Wszak

jeszcze do dzisiejszego dnia panoszą się wszędzie włoskie bel c a n t o. Jakże trudno jest wzbudzić ambicję znalezienia własnego wyrazu w śpiewie, skoro się powszechnie z dziwnym doprawdy nabożeństwem słucha „La Scali”, padającymi plackiem przed jej autorytetem. Nic więc dziwnego, że w takim wypadku śpiew doprawdy znalazł się wobec innych nowych zagadnień gdzieś daleko. Prosto obok nich.

Najwięcej na tem cierpią śpiewacy. Okazuje się, że od szkoły do manieri nie jest droga tak daleka, jak mogłoby się wydawać. Brak wysiłku twórczego ze strony śpiewaka, tłumaczyć można obawą przeciwstawienia się zakorzenionym poglądom i — gustom.

A wspólne zrozumienie, współpraca nawet sztuki odtwórczej w śpiewie ze sztuką twórczą musi wydać napewno wyniki. W dużej jednak mierze, większej aniżeli by się nawet zdawało, zależy to od odwagi przełamania swego nie-

jednokrotnie już przeżemnie atakowanego konwensu estrady i sceny operowej. Przecież to są nić kontaktu z publicznością!

Zadanie np. ilustracji szeregu różnych indywidualności, jakimi są tak różni Couperin, Franck, Ravel, jest już krokiem naprzód. Całe szczęście, że powtarza się to coraz częściej.

Pochwalmy tutaj Ines Jouglet. Dobre rozwiązanie jednak zadania wymagać będzie jeszcze z jej strony wiele pracy, związanej nie tylko z samą techniką śpiewania.

Porankiem niedzielnym w Filharmonji dyrygował Bronisław Wolfst. W programie Berlioz „Karnawał rzymski”, Masseneta „Scenes pittoresques” i Liszta poemat symfoniczny „Tasso”. Wolfst należy do dyrygentów poprawnych, dbałych o czystość wykonywanych utworów. Dobrze prowadził orkiestrę, gdy przy fortepianie był Leon Boruński pianista

niewątpliwie uzdolniony, o dużym temperamencie, który czasami daje się jednak odczuć nie bez szkody dla wykonywanego utworu.

Tym razem grał koncert fortepianowy b-moll Czajkowskiego.

Zadziwiające wprost pustki na porankach symfonicznych zwróciły już i słuszną uwagę prasy, która poczęła nawet podawać w wątpliwość cel istnienia instytucji koncertów popularnych. A jednak skasowanie ich świadczyłoby tylko o najłatwiejszym wyjściu z sytuacji. Przypomnijmy sobie dyskusję, sprzed nieomal dziesięciu lat, w ramach oczywiście całej kwestji istnienia Filharmonji. Już wówczas kwestja ta interesowała, co prawda nie tak, jak winna była interesować. Już wówczas zapytywano, jak złemu zaradzić.

Dziesięć lat świadomej pracy winno jednak dać pewne wyniki, zwłaszcza, że duże możliwości od lat kilku leżą w ręku tych ludzi, którzy kiedyś nawet w me-

morjach poruszali te sprawy. Nie dzisiaj łatwiejszego, jak u- względnie pismo kiedyś tam złożone. Nie sprawi to dzisiaj już chyba najmniejszej trudności. Nie przesadźmy w tej chwili wyników — to sprawa inna. Niemniej należy spróbować, zdobyć się na jakąś akcję. Akcję, która poszła po linii ukazywania wartości wzruszeń muzycznych i oczywiście wzruszeń tych dostarczała.

Dawałem już przykłady zamknięcia muzycznych szerokich mas. Dzisiaj dodam jeszcze inny. Czytałem afisz zapowiadający konkurs orkiestr kolejowych. Jeden z dowodów, jak chętnie się ciągnie do muzyki, jak stosunek do niej nie ograniczył się, mimo wszystko do roli konsumenta radjowego. Zamiast podkpiwać sobie z orkiestr strażackich w małych miasteczkach, wysnujemy z faktu ich istnienia wnioski i realizujemy je, tylko realizujemy jak najprędzej!

W. Narusz